

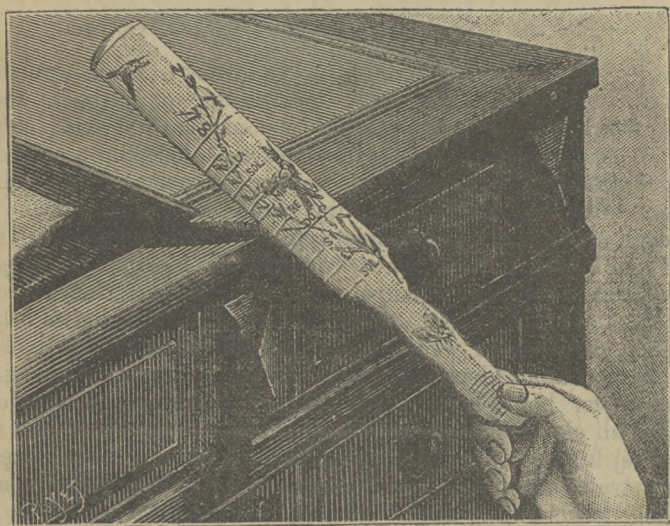


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

**PRENUMERATA WYNOŚI:**

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Doświadczenie fizyczne.

Każdy ton muzyczny zależy od szybkości drgań, które go wywołują. Drgania szybsze dają tony wyższe, wolniejsze niższe. Już nieraz to tłumaczyliśmy czytelnikom naszym. Szybkość drgań znów zależy od długości struny, lub blaszki drgającej. Dlatego to w fortepianie są struny dłuższe i krótsze, a w skrzypcach grający skraca je i przydłuża niejako przez przyciskanie w pewnych miejscach palcami. To prawo można stwierdzić bardzo łatwo, urządzając sobie grający nóż do rozcinalnia kartek. Spróbujcie tylko takim nożem uderzać o róg jakiego sprzętu, a usłyszycie wyraźny dźwięk, niezbyt zapewne melodyjny, ale zawsze dający się

uchem pochwycić. Przesuwając nóż wyżej i niżej, wywołamy coraz to inne dźwięki, bo zmieniać się będą z długością drgającej części noża. Kto ma wprawne ucho muzyczne, może dojść do oznaczenia na nożu całej gamy tonów, jak to widzimy na rysunku. Trzeba dobrze uważać, aby ręką trzymać zawsze w jednym miejscu, bo i tym sposobem zmienia się długość muzycznej części noża.

### ZWIEDŁE LIŚCIE.

Lecą chwile za chwilami  
Jak jesienią liść uwiędły,  
Że nie wiemy prawie sami  
Kiedy latka się uprzedły:

Ledwo z zimy lód stopnieje,  
Ledwo wiosna światu błysnie  
Jużci latem żółkły knieje,  
Mija jesień i mróz ciśnie.

Lecz na świecie, wśród przyrody,  
Żadna z chwil tych nie ubieży,  
By istnienia jej dowody  
Nie wyryły ślad swój świeży:

Czemż ludzkich istnień tyle  
Jak uwiędły liść przelata,  
Zostawiając przy mogile  
Tyleż, co i liść dla świata?...

Oprócz prochu duch istnieje:  
Co natchnie, niech każdy słucha,  
By gdy liście wiatr rozwieje  
Pozostały ślady ducha!



# PODZIEMIA BARWAŁDZKIEGO ZAMKU.

powieść z dawnych czasów

PRZEZ **Boguchwałę.**

(Dalszy ciąg).

— No! precz! — krzyknęła Agata. — Idę sama wam pokazać gdzie co jest, bo choć dobrze radziłam ksieni żeby wszystko schować razem, to mię nie usłuchała i teraz trzeba się włóczyć po różnych kątach. Zatem do roboty! bo lada chwila może przybyć pomoc, po którą na wszystkie strony rozesłano!

Natychmiast banda znikła, a tymczasem Agata zbliżając się do wpół martwych wychowanek klasztornych, szepnęła mocno znizonym głosem:

— Hej! ty cięty jezyczku panno Bonarówna! jesteś pewno najprzytomniejsza z tych pisklatek, przypilnujże aby za mną zasunięte były te rygle, bo inaczej za nic nie ręczę... a muszę iść pokazać im gdzie co zabierać, zaraz wrócę. — Po tych słowach siostra Agata wyszła, a Bonarówna nie potrzebowała aby jej po raz drugi powtarzano co miała uczynić. Za jej przewodem, połączonemi siłami zasunięto drzwi, poczem Ewa z Rabsztyna, po raz pierwszy zdoławszy zebrać myśli rzekła:

— Zakonnice w chórze śpiewają dotąd ciągle; jak śpiewać przestaną, będzie to znaczyło że już nie żyją, i my wtedy umrzemy... śpiewajmy i my, żeby one wiedziały że żyjemy jeszcze: — uklękła i zaczęła wtórować odległemu chórowi zakonnice, towarzyszyki naśladowały ją. Wśród śpiewu nasłuchiwały czy zakonnice śpiewają.

— Jakież my dzieci! — zawołała nagle zrywając się Bonarówna. — Czemu nie wołamy ratunku? Możeby usłyszała straż! Może nawet już kto z sąsiedztwa przybył z pomocą!

I myśl w czyn wprowadzając, zaczęła ze wszystkich sił wołać ratunku, uderzając wielką linią w stół ogromny, wszystkie towarzyszyki poszły natychmiast za jej przykładem. Potężna wrzawa napełniła salę, a jednak, dźwięczny teraz głos Agaty, zapanował wyraźnie nad hałasem, gdy zjawiwszy się znów niespodzianie, rzekła:

— Nie zrywajcie próżno gardziołek pisklatka lube, bo to nadarmo: przez grube mury i wśród wycia burzy która się zrywa, i w odległości drugiego dziedzińca, straż nie usłyszy waszych głosów; a choćby i usłyszała, to zakonnice z moją własną pomocą tak dobrze obwarowały wszystkie wnijścia klasztornego domu, że zje licha pomoc nim z zewnątrz we-drzeć się zdoła, gdy nie będzie komu jej otworzyć. A teraz, panno Bonarówna, pójdź do porachunku za twój ostry jezyczek, którym kłuś często siostrę Agatę — i niespodzianie zarzuciwszy dużą chustkę na głowę i ręce Bonarówny, Agata związała ją w jednej chwili i podała złoczyńcy, stojącemu w progu drzwi zaryglowanych zewnątrz, które teraz otworzyła. Rozbójnik zarzucił sobie obezwładnioną nagle dziewczynę na ramię.

— A ostrożnie z nią — dodała groźnie Agata — bo jakbyśmy jej zrobili najmniejszą krzywdę, toby mi zaraz na okupie ojciec urwał, a musi mieć grosza na potęgę, kiedy ma taką powagę mieszczanin, że córeczkę wśród szlachcianek tutaj wychowuje. Dalej w drogę!

Dokończając tych słów Agatą, zarzucała już także same pęta na Ewę z Rabsztyna, mimo jej oporu i towarzyszyk, które zrozumiawszy o co idzie, broniły jak mogły porywanych. Agata sobie samą zarzuciwszy na ramię swą ofiarę, napróżno usiłującą się wyrwać, jedną ręką przytrzymywała ją, a drugą opędzając się chmarze dziewcząt, mówiła idąc ku drzwiom:

— Fe, wstydzicie się drapać, gryźć, do oczu skakać... to nie uchodzi szlacheckim panienkom... No, a idźcie otworzyć drzwi chóru zakonnicom, a potem w lochach pod kaplicą poszukajcie przełożonej, żeby nie zamarła tam z głodu biedaczka, a potem może jeszcze da się odratować służbę, którą

tam w kuchniach niepotrzebnie poturbowali moi ludzie... Wiedzicie że jestem poczciwa siostra Agata i niczyjej krzywdy nie żądam. Pozdrówcie też panią wojewodzinę ruską odemnie i podziękujcie jej za protekcję.

Ostatnie wyrazy doszły uszu dziewczątek już z głębi korytarza, w którym znikli porywający wraz z porwanemi, pozostawiając drzwi sali szeroko otwarte.

Głuche milczenie zapanowało wśród obezsilnionych własną rozpaczą wychowanek, a wtedy usłyszały one dwa chóralne śpiewy: jeden brzmiał ciągle hymnem modlitewnym, choć ciszej teraz, jakby sił brakło piersiom zakonnice w chórze; drugi zahuczał nagle w samym klasztorze, smutnym a chrapliwym, nieuczonym śpiewem, z licznych męskich gardel wydobytym i nikł potem, jakby śpiewający oddalali się.

Żałosne echo znienawidzonej tej, aż nazbyt znaną podówczas pieśnią \*) dawno już znikło, i dużo upłynęło czasu zanim dziewczątka w sali przyszły do siebie z przerażenia o tyle, że przypomniały sobie słowa Agaty i zrozumiały, że do nich należy uwolnić konające ze strachu zakonnice.

O świcie dopiero znaleziono i wyniesiono z podziemi przełożoną, którą mimo wskazówki mniemaną Agaty trudno było tam znaleźć, gdy zemdlona nie mogła odezwać się w odpowiedzi na wołające ją głosy.

Klasztor był doszczętnie zrabowany, a słychać z bogactw, co też i ściągnęło nań rozbójników. Niektóre zakonnice i wychowanki zachorowały z przerażenia. Kilkoro służby i ksiądz broniący wejścia do kościoła, zostali pomordowani lub poranieni ciężko.

Wrzawa, żałość i oburzenie napełniły okolicę. Nie był to przecież odosobniony wypadek, choć król Kazimierz Jagiellończyk i panowie rada i obywatele czynili co mogli, dla poskromienia rozbójów.

Kroniki zapisały w kilku słowach napad zbójców i zrabowanie bogatego klasztoru benedyktynek w Staniątkach.

## V.

Jak złe moce dokazywały na Zbójckim Ostrowiu.

Straszny wicher hulał nad Wadowicką ziemią w ciemną noc listopadową. Nie duży lecz ciężki wóz kupiecki włócił się w taki sposób, jakby jechał w poprzecz wysokich zagonów, skrzypiać, po grobli czy moście, ułożonym z całkowitych kłód potężnych, na rozległym trzęsawisku. Trzej ludzie szli koło wozu, dwaj śludzy koło koni prowadząc je, trzeci szedł przy wozie wspierając go często ramieniem, był to sam kupiec. Szli prawie omackiem, kierując się więcej zmysłem koni, niż własnym rozumem. Konie zmordowane, spragnione, z pospuszczanemi głowami, lazły, zaledwo ostatkiem sił ciągnąc swój ciężar, ludzie zachęcali je głosem i pieszczołami, klepaniem, głaskaniem. Wszystko pomagało nie wiele, boć i końskie siły mają swe granice, co ludzie ci zdawali się doskonale odczuwać, i przeto nie było tam ani jednej kłatwy, ani jednego uderzenia batem, co tak często przytrafia się pospolitym woźnikom. A wtem jeden z koni zrobił jakiś żwawy ruch, parsknął i inaczej iść zaczął, a jeden z dwóch młodych parobczaków zawołał wesoło:

— Panie, panie! kasztan czuje stajnię!

— I mały też! — krzyknął drugi parobek.

— Ba!... ale jaką stajnię?... Żeby to mądry Kasztan powiedział — odrzekł pan. — Choćby mi kto w głowę strzelił, ani wiem gdzie się zawlekliśmy, wymijając topiele po nocy. Oj któż wiedział że się zima tak opóźni!

— O! o! światelko! — krzyknął parobek.

— Ale co za światelko? I jak dojść do niego, gdy świeci gdzieś tam daleko, na uboczu, a tu muszą być straszne topieliska, kiedy zbudowano taką groblę... obawa z niej zjechać ku światłu; — mówił drugi parobek.

— Obawa czy nie, jednak zjechać trzeba, albo ustać na tej grobli, która podobno niema końca... a taki nocleg w ta-

\*) Bracia żebracy byli słynnymi podówczas rozbójnikami, którzy obudzili ogólny postrach. Napad ich na klasztor w Staniątkach opisują stare dzieje.



ką burzę, może my wytrzymamy, ale co konie to pewno nie! — zaręczył pierwszy.

— Aha! a tobie Antek o nic nie idzie, ani o towar, ani o pana, ani o mnie, ani o siebie, tylko o twego wychowawcę kasztana! Hi hi hi!... — śmiał się towarzysz Antka.

— Bah! — z dobrym humorem, mimo biedy, odrzecz Antek — to się wie... jeszcze pan jak pan, boć to tyle niby co ojciec, ale co za siebie i za ciebie to dalipan, że nie dałbym jednego kopyta mego kasztana, bo on też w jednym kopycie więcej ma rozumu, niż my oba w głowach.

— No, jeżeli tak — odezwie się na to pan zafrasowany — jeżeliś taki pewny kasztana, to porozumiejże się z nim, czy ci dobrego brodu przez topielisko do owego tam światła nie wskaże, bo inaczej będzie źle!

— Czemu wskazać nie ma, kiedy stajnię czuje! — zarozumiale rzekł Antek, wielbiciel kasztana i jał przemawiać do niego, klepiąc i głaszcząc, a tłomacząc po przyjacielsku, że po to puszcza się jemu oto cugle, aby znalazł drogę do stajni, bo droga ta przecież musi być, kiedy stajnia jest, tylko trzeba umieć trafić do brodu, wśród topieliska i w nocy. Koń zdawał się rozumieć, bo poczuwszy że mu zdano wodze zupełnie, zaczął widocznie szukać brodu i namyślać się, a Antek idący tuż przynim, oz najmiał głośno towarzyszom, co kasztan robi:

— Już szuka! — wołał — oho nie tu!

Istotnie, koń zaledwo postąpiwszy ostrożnie z grobli w bok ku światłu, pociągając za sobą drugą uległą szkapę i wóz, cofnął się zaraz, poczuwszy snąć pod nogą nie to czego się spodziewał, z biedą wycofano się na groblę i jechano nią kilka kroków, gdy kasztan zaczął znowu próbować gruntu, aż po kilku takich próbach, zeszedłszy z grobli postąpił kroków kilka, przystanął, parsknął, i zwolna ale pewnym krokiem ruszył naprzód ku światłu,

— Znalazł! — wykrzyknął Antek radośnie.

— Ależ on idzie teraz w bok od światła! Gdzież on idzie! — zawołał drugi parobek z przestrachem.

— No, no, daj ty pokój — odparł Antek — gdybyś ty tak szedł, toby było źle, ale jak kasztan tak idzie, to już wie co robi: z pewnością tak idzie jak bród prowadzi.

Jakoż pomimo kołowania, zbliżano się jednak do światła, aż gdy doszedłszy go kasztan stanął, Antek aż go pocałował z radości, nie dla tego że dotarli do chaty, a że kasztan mądrości swojej dowiódł nareszcie. O ile ciemność dojrzeć pozwalała, chata to była dosyć obszerna ale zapadła w ziemię okrutnie i w pół zburzona, może były to nawet tylko zwaliska dużej chaty... i gdyby nie światło, możnaby sądzić że nie zamieszkane nawet. Nikt nie wyszedł na skrzyp wozu, ani pies nawet nie szczeknął.

Kupiec wszedł do izby, kierując się ku światłu, i schylając mocno we drzwiach niskich i zapadłych.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł witając.

Dwa przeraźliwe krzyki przestrachu ozwały się w pierwszej chwili, potem dopiero odpowiedziano jak należało, ociągając się jednak i wystraszoną głosem. Dwoje starych ludzi dziwnie wylęknieni nie wiedzieć czego, trzęśli się jak w febrze ze strachu czy zimna, siedząc przy ogniu, nie radzi gościowi, który krótko a usilnie prosił o gościnność. Widząc że mu nie radzi, przybysz zdziwiony takim przyjęciem w słynnej z gościnności ziemi, zmuszony koniecznością, zaczął gospodarować sam ze sługami. Wprowadził wóz i konie do szopki pustej i odartej, jakby w niej nic nigdy nie bywało i opatrzywszy je starannie, kazał dwóm parobkom ogrzać się i posilić w izbie. Sam usiadł w kącie na drabinie w szopce, z ręką a rękojści długiego noża u pasa, i patrzył bacznie naokoło, usiłując wzrokiem przebić ciemności. Był czegoś niespokojny; powziął dziwną nieufność do tej niegościnnnej chaty.

— Tam w chacie pusto, nędza ostatnia — powiedział do sług — weźcie własną żywność, bo nie dostaniecie nic. Jak powrócicie, sam pójde się ogrzać.

Zaledwo został sam, gdy cień jakiś zamajaczył koło koni, ale gdy kupiec poruszył się ściskając nóż w ręce, wnet cień zwrócił się ku niemu. Był to stary gospodarz chaty,

choć trudno było zgadnąć z kąd się wziął w szopce, nie wyszedłszy z tej chaty jedynemi w niej drzwiami, przez które błyskał przecież ogień za każdym otworzeniem. Pomimo starości musiał mieć dobry wzrok, kiedy kupca spostrzegł odrazu, przystąpił doń i widząc go rozgospodarowanym w szopce, rzekł, jakby zgodziwszy się udzielić gościnności, gdy uchylić się od niej nie mógł:

— Z dalekiej drogi widzę! Koniska ledwo zipią. A dalekoż Bóg prowadzi pod taką psią porę? Zapewne do Krakowa?

Mówił teraz daleko uprzejmiej niż w izbie przed chwilą, gdzie słowa zeń wydobyć trudno było. Kupcowi nie podobała się ciekawość nieludzkiego dziada, więc odparł sucho:

— Pora najlepsza do podróży jest ta, gdy komu jechać potrzeba; a za nocleg w szopce powiedziałem że zapłacę dwa srebrne grosze. Jestem Jan Zuk kupiec krakowski, więc zapłacę \*) do szatana!

Dziad syknął jakby sparzony:

— Cyt! człowieku, nie wymawiaj tutaj tego imienia!... — szepnął drżąc.

— Albo co? — spytał podróżny patrząc ciągle bacznie po ciemnych kątach szopy, czy w nich nie jawi się jakie niebezpieczeństwo dla jego mienia. Zamiast odpowiedzi dziad chwycił go za rękę i poruszył nią w stronę otwartą szopy, wskazując mu w ten sposób, aby tam spojrział. Podróżny spojrział i zadrżał: tłum białych małych płomyków \*\*) ulatywał jakby w popłochu nad trzęsawiskami.

(d. c. n.)

## WIELKI ZJAZD.

Bardzo już dawno nie widziano tak wspaniałego i bogatego pocztu, złożonego z najzacniejszych panów koronnych, jaki w Lutym roku 1515 wyruszył z Krakowa. To też mieszkańcy miasta wylegli tłumnie na ulice, cisnęli się do okien, ba, nawet dachy roily się od ciekawego ludu. I nie dziw, nie prędko zdarzyć się mogła sposobność widzenia króla jego mości, w otoczeniu tylu znakomitych dostojników, którzy najpierwsze trzymali urzędy i najpierwsze miejsce zasiadali przy Zygmuncie I, zwanym Starym.

Król jechał na siwym tureckim bachmacie; a znać w daleką wybierał się podróż. bo zdala toczyła się jego kolasa, i kilka innych kolebek. Nie wszyscy bowiem jadący przyzwyczajeni byli do konia, niewojenna to wyprawa, mogli więc sobie odpocząć, nienawykli do takich trudów dostojnicy kościół, biskupi: Piotr Tomicki, Jan Lubrański i Maciej Drzewiecki, jadący z wielką powagą tuż obok króla. A od nich zaraz oko się rwie do Andrzeja Tęczyńskiego, wielkiego wojewody, oraz Mikołaja Firleja i Mikołaja Radziwiła, których rycerska postawa i rycerskie czyny napełniały zawsze otuchą serca. Wreszcie tuż obok siebie jechali Krzysztof Szydłowiecki kanclerz koronny i Stanisław z Chodcza marszałek wielki koronny. Ci dwaj mimo tłumy i gwaru wiodą ze sobą ożywioną rozmowę, a z wyrazów, dolatujących znać, że nie o bagatelę im idzie.

— Wszelkie konszachty z Habsburgami mogą nam tylko wyjść na krzywdę i upokorzenie! — mówił ponuro marszałek.

— Któż tam może wiedzieć o jakich konszachtach! nasz pan jedzie do brata do Presburga — odrzekł spokojnie Szydłowiecki.

— Nie braterskać to miłość do Władysława, króla czeskiego i węgierskiego, ino ludzkie namowy tę podróż sprowadziły; oj! biada Rzeczypospolitej, jeżeli dla marnego tytułu chcą jej sprawę we wrogie oddać ręce! — rzekł porywczo pan z Chodczy.

\*) Srebrny grosz wówczas miał wartość około 40 groszy dzisiejszych.

\*\*) Błędne ogniki, pojawiające się w miejscach gdzie znajdują się zagrzebane gnijące ciała, a które lud przesądnie uważa, jako płomyki wydobywające się z pieniędzy zakopanych.



— Mości marszałku koronny, niewczesne wasze przy-mówki; nikt, o ile wiem tytułu od cesarza nie otrzymał, a je-żeli chcecie wiedzieć, to ja sam doradzałem tę podróż i so-  
jusz z cesarzem Maksymilianem; sojusz ten może tylko splen-  
doru naszemu państwu i powagi u innych przyczynić.

— Nie trzebać nam cudzego blasku, bo go mamy swo-  
jego dosyć w szabli naszych rycerzy a powadze monarchy —  
odparł marszałek. Habsburg siła obieca, a powoli przymknie  
się do Czech i Węgier, aby i na nas lwią łapę położyć; lepiej-  
by nam z Czechem i Węgrem przeciw niemu, niż z nim trzy-  
mać — dodał po chwili jakby do siebie.

— Tak każdy sądzi, jako mu rozum dyktuje — rzekł  
z przekąsem Szydłowiecki i zamilkł.

— Byleby tylko tym rozumem nie przemędrkował! —  
rzekł marszałek przez zęby i rozpoczął głośno:

„Pater noster etc”.

— Ino wam też pacierze odmawiać, a nie w sprawy  
Rzeczypospolitej się mieszać — mruknął kanclerz i jechał już  
dalej w milczeniu.

Tymczasem poczet cały kroczył po zmarzniętej i utoro-  
wanej drodze, wszędzie dziwiono się przepychowi jego, a gdzie-  
kolwiek wypadł postój lub nocleg, mieszkańcy z radością wi-  
tali przybywających, boć znaną była hojność polskiego króla;  
radzi mu więc byli nie tylko swoi, lecz i na węgierskiej ziemi.  
Grosz do kalety mieszkańców wpadał, a było też czem i oczy  
nasycić, przypatrując się wspaniałemu orszakowi. Podróżni  
jechali wolno, zażywając po drodze wczasu; przyjmowani  
przez panów węgierskich, nieraz i kilka dni w ich zamkach  
gościli. Królowi nie było spieszno, lubił rozmaitość a też i  
polowaniem w lasach węgierskich się zabawiał, turniejom  
i wszelakim na jego cześć krotocwilom się przypatrywał. To  
też nim do Presburga przybyli, już Kwiecień jaśniał na nie-  
bie, a wiosenne słońeczko złote rozrzucało promienie.

W Presburgu wyszła deputacya do bram miasta, wszy-  
scy przyjaźnie przybywających witali, a Szydłowiecki z du-  
mą spoglądał, stojąc przy królu, jakby chciał temu powie-  
dzieć:

— Patrzcie, to ja sprawiłem tę podróż, przezemnie tyle  
rozkoszy.

Wyjechał też i sam król Władysław naprzeciw brata;  
strojny był orszak jego, a chociaż panowie węgierscy kochają  
się w przepychu, nie ustępował im w niczem poczet otacza-  
jący naszego Zygmunta. Wspaniałości jednak całej jeszcze  
nie rozwinięto, chowając ją na najważniejszą chwilę, przyby-  
cia cesarza.

— Bracie mój, a najjaśniejszy królu miłego mi zawsze  
narodu — rzekł Władysław, witając Zygmunta — wdzięcz-  
ni ci jestem za przybycie, idzie tu bowiem o los moich dzieci,  
ba i całego państwa, a głowa moja już stara potrzebuje rady.

— Głowac wasza ukochany bracie, a miłościwy królu  
pobratymczych nam ludów, ma zdrowy i wytrawny sąd — od-  
rzekł Zygmunt — aleć zawsze dwie głowy to nie jedna a swoją  
wam służę, jako brat po krwi, a jako sprzymierzeniec wasze-  
go państwa i przyjaciel.

— Cesarz niemiecki Maksymilian I potężny pan, dzierży  
on całe Niemcy, ba i na hiszpańskim tronie syna swego osa-  
dził; wielki to głowacz i polityk niepospolity, chce z nami  
przyjaźni...

— Trzeba to będzie dobrze rozważyć — przerwał bratu  
Zygmunt — a do rady wezwać najprzedniejszych panów wa-  
szych i naszych. — I potarł ręką po oczach, jak to zwykle  
czynił, gdy miał jakąś myśl niepewną, a frasobliwą.

Tak rozmawiając, przybyli do zamku gdzie czekała  
ich uczta, gęsto przeplatana tokajem. Przy ucztach i turnie-  
jach znowu czas przyjemnie schodził, a tymczasem szli po-  
słowie od cesarza Maksymiliana z coraz nowemi poleceniami,  
bo co jeden przyjechał, to zanim dążył drugi, a wszyscy przy-  
puszczani byli przed oblicze królewskie. Inni też panowie  
z posłami radzili, ba jeszcze pierwej niż sami monarchowie,  
bo oto jakoś w początkach Czerwca i515 roku, zjechał do  
Presburga Kuspianin, starosta wiedeński i wprost kazał się

prowadzić do dworca, przez kanclerza polskiego, Krzysztofa  
Szydłowieckiego zajmowanego.

Późnym to już było wieczorem, w Presburgu, mimo zja-  
zdu, mało już ludzi było na ulicach, a w oknach prawie wszy-  
stkich domów światło zagasło. Nie było go i w dworcu, zaj-  
mowanym przez pana kanclerza, tylko pacholek czuwał przy  
bramie i na pierwsze stuknięcie młotka o furtę zerwał się  
i pytał:

— Hasło?

— „Principis” — odpowiedział przybyły.

Pacholek otworzył pośpiesznie furtę, przybyły zsiadł  
z konia, rzucił lejce luzakowi, toż samo uczynili dwaj jego  
towarzysze i kazawszy konie odprowadzić na kwaterę, dla sie-  
bie przygotowaną, weszli w podwórzec domu Krzysztofa.  
Tutaj zaraz jakby z pod ziemi wyrosli kanclerscy dworzanie,  
z niewielkimi pochodniami, którzy z należnemi pokłonami  
i uszanowaniem przeprowadzili posła cesarskiego, starostę  
wiedeńskiego Kuspianina, przez ciemny podwórzec i sień słabo  
oświetloną, gdzie oczekiwał go sam wielki kanclerz i z nie-  
zwykłą atencją do komnaty, zaledwie czterema jarzącemi  
świecami oświetlonej, wprowadził. Towarzysze zaś starosty  
do innej obok dyskretnie się usunęli, zostawiając obu dostoj-  
ników w poufnej naradzie.

Już pierwsze kury pały, a dwaj panowie żywą ze sobą  
wiedli rozmowę, czyli raczej Kuspianin żywo coś opowiadał,  
gestykulując i wodząc palcem po rozłożonej mapie, a kan-  
clerz Szydłowiecki skąpem i tylko odpowiadał słowy. Z na-  
tury był mało mowny i zamknięty w sobie, a teraz znać wy-  
wody cesarskiego posła mocno go zajmowały, bo zmarszczy-  
wszy czoło i wyteżywszy sokołe oko, pilnie słuchał słów  
Kuspianina, wodząc wzrokiem po rozłożonej mapie.

Kuspianin zato mówił ciągle, aż cały był prawie w po-  
tach; od czasu do czasu zwracał sobie usta stojącą w złotym  
puharze małmazyą, a wychyliwszy go do dna, zawołał:

— Za wasze zdrowie, mości wielki kanclerzu koronny  
przy królu polskim, Zygmuncie I, a nam wielce miłościwy  
*principis Sacri Imperii*, bo ten tytuł nadaje wam nasz pan  
i cesarz Maksymilian I, a jako przez moje usta wieść wam  
tę kazał donieść, tak we wszem państwie każde to ogłosić,  
a dyplom książęcy wam przysłać.

— Ho! i dzięki najwyższe najmiłościwшему panu  
waszemu, a mnie wielce łaskawemu cesarzowi wszech Nie-  
miec Maksymilianowi I-u; ale choć miły mi jest ów tytuł i dy-  
plom przez niego nadany, wszelako tytułem tym ozdabiać się  
i wołać nie będę — rzekł poważnie Szydłowiecki.

— Jako, odrzucacie łaskę cesarską, zrywacie układy,  
mości kanclerzu? — zapytał żwawo Kuspianin.

— Nie odrzucam łaski cesarskiej, a układów nie zry-  
wam — jakom rzekł, głos podniosę przed panem moim, a kró-  
lem Zygmuntem I-m gwoli wyprawy do Wiednia i sojuszu  
z wielkim cesarzem, ale ozdobić się tytułem mi nadanym nie  
mogę, boć nie dla tytułu, ino dla dobra Rzeczypospolitej  
miłościwego króla do tego sojuszu namawiać będę.

— Aa! czołem przed taką spartańską cnotą! — rzekł  
z uśmiechem nieco szyderczym poseł cesarski, i wyciągnął  
dłoń do kanclerza, mówiąc:

— A więc jutro przed obliczem waszego monarchy i je-  
go brata, króla węgierskiego na was liczyć mogę?

— Jam raz rzekł, słowa nie cofam, bo jakom mówił  
pragnę w tym sojuszu i amicyi widzieć dobro Rzeczypospoli-  
tej — odrzekł mu kanclerz.

— A więc do jutra, mości *principis Sacri Imperii* —  
rzekł na pożegnanie poseł i przeprowadzony znów przez pa-  
chołków ze słabo tlejącemi pochodniami, przemknął się przez  
ciemny podwórzec i zniknął wraz z towarzyszami na ulicach  
Presburga.

A na zamku presburskim od świtu był już ruch ogro-  
mny, przygotowywano przyjęcie dla posłów, którem uczcić  
chciano samego cesarza. Około też południa ten sam Kuspia-  
nin któregośmy widzieli nocną porą wchodzącego skromnie  
do mieszkania kanclerza, wjechał strojny i zbrojno na pres-  
burski zamek.





Lapponczycy w Berlinie.



## LAPOŃCZYCY.

Tymczasem w komnatach królewskich siedzieli obaj bracia, Władysław i Zygmunt i wiedli rozmowę z wielkim kanclerzem. Szydłowiecki, tak skąpy zwykle w słowa, obecnie całym potokiem je wylewał.

— Podróż waszych miłości do Wiednia na zaproszenie cesarskie doda splendoru waszym domom, a u nieprzyjaciół stanie w potęgę. Już wtedy ani pogański Turczyn, ani żaden nieprzyjaciół od wschodu czy północy, nie będzie śmiał ku nam wystąpić. Z połączenia zaś takich dwóch potężnych domów, jak Jagielloński i Habsburski, wypłynąć może wielka potęga, która stojąc na czele powierzonych im ludów, zapewni spokój i szczęście. Wierzajcie mi najmiłościwsi monarchowie — rzekł wreszcie, przyklękając na jedno kolano przed siedzącymi — że tylko miłość ku waszemu rodowi i szczęście powierzonych wam narodów słowa mi te dyktują.

— Wierzmy wam, wierzymy mości kanclerzu — rzekł dobrotliwie Zygmunt — tem więcej, że tak brat mój a król węgierski jako i ja długośmy nad tem rozważali...

— I do Wiednia wyruszyć postanowili — dodał Władysław — a przeto i posła cesarskiego przyjąć nam się godzi.

Po tych słowach powstał obaj monarchowie, a dobrym humorem i łaskawem obejściem udarowali i Kuspianina i wszystkich, co z nim przybyli.

Wkrótce też z Presburga wyruszył liczny orszak panów węgierskich i polskich, otaczających monarchów swoich. Dnia 17 Lipca wjechał ów poczet do Wiednia, zadziwiając mieszkańców swoim bogactwem i przepychem. Piękny był dwór Władysława węgierskiego, lecz piękniejszy jeszcze Zygmunta I-go, otaczało go bowiem 2,000 koni, a bogactwo rynsztunku makat którymi okryte były te konie, oraz przepych hubrania polskich panów, mógł wprawić w podziw cesarską stolicę.

Maksymilian też przesadzał się w przyjęciu, otaczali go książęta: bawarski meklemburski oraz posłowie hiszpański i angielski, mający być świadkami wielkiej zawartej między cesarzem, i królami węgierskim i polskim przyjaźni. Cesarz umiał sobie zjednać szczerych i otwartych Jagiellonów, którzy w podyktowanych układach sojuszu, czyli traktacie wiedeńskim roku 1515 tylko samo dobro widzieli.

Traktatem zaś tym urządzono małżeństwo Ludwika, królewicza węgierskiego, a syna Władysława z Maryą, wnuczką cesarską, oraz wnuka cesarskiego Ferdynanda i dziedzica korony cesarskiej z Anną, siostrą Ludwika. Prócz tego Maksymilian przyjmował Ludwika za syna, wprowadzając go do rodziny Habsburgów. Obwarował sobie jednak, iż gdyby Ludwik zeszedł bezpotomnie, korona czeska i węgierska przejdzie na Annę, a temsamem na męża jej Ferdynanda.

Nikt z panów węgierskich, czeskich lub polskich na ten ostatni warunek nie zwrócił uwagi, cieszący się terazniejszą i pokrewieństwem z Habsburgami, cieszący się przede wszystkim przepychem, z jakim odbył się obrzęd zaślubin d. 29 Lipca 1515 w kościele ś-go Szczepana i z sercami przepełnionymi radością wracano do domów.

Powrócił i Zygmunt z całym orszakiem w Sierpniu do Krakowa i wprędce się przekonał, że wpływ, jaki miał na Węgry i Czechy, całkiem utracił. Potęga jego tym traktatem, nie tylko się nie wzmogła, lecz osłabła, a Habsburg, przyrzekający pomoc w razie wojny, zręcznie się od tego przyrzeczenia wyłamał.

Wkrótce umarł Władysław węgierski, Zygmunt jako głowa Jagiellonów, miał prawo doradcy wobec jego następcy młodego Ludwika; i tutaj jednak Maksymilian wziął górę, a gdy tenże Ludwik zginął w walce z Turkami pod Mohaczem roku 1526 d. 28 Sierpnia, nie zostawiwszy następcy, Czechy i Węgry na mocy nieopatrzonego wiedeńskiego traktatu z 1515 roku, dostały się pod panowanie Habsburgów i dotąd pod ich rządem pozostają. Smutna więc była na razie uciecha.

A. Łada.

Przed kilku laty przejeżdżając przez Berlin, mieliśmy sposobność widzieć w miejscowym ogrodzie zoologicznym gromadkę Lapończyków, których tam sprowadzono na czas pewien, dla dobra nauki, jako typy niezmiernie ciekawe pod względem antropologicznym, to jest dotyczącym w ogóle nauki o człowieku. Odnalazłszy przypadkowo ich fotografie wśród innych rycin jakie posiadamy, na prośby Red. Wiczciorów, dzielimy się z czytelnikami wrażeniami, doznaniem i podówczas. Ludzi tych zabrał z ich rodzinnego kraju przedsięwzięcie, czyli tak zwany z włoską „impresario” i obwoził ich po świecie, umówiwszy się z nimi co do wynagrodzenia, jakie daje im prócz utrzymania, a oni za to dawali pewien rodzaj przedstawień, wyglądających bardzo zajmująco dla nas, acz nie używali w nich żadnej sztuki, lecz wykonywali tylko najpospolitsze i najwłaściwsze im, nieznanne nam zajęcia. Trzeba dodać że mieli z sobą kilku reniferów z rosochatami rogami i psa własnego, bez czego Lapończycy nie byliby w komplecie, mieli także swoje własne sanki. Przedstawienie bywało takie. Siedzieli sobie Lapończycy w namiocie ze skóry renifera, odziani w reniferowe skóry, od obuwi aż do czapek czworograniastych u mężczyzn, i podługich w tył podanych czepków u kobiet; kobiety szyły reniferowe skóry, kołysząc malutkie lapończykatko w kołysce drewnianej, najdokładniej podobnej z kształtu do dużego pantofla... mężczyźni, doili renifery... a wtem wpadał wilk... to jest Lapończyk odziany w skórę wilka i naprawdę odgrywający jego rolę tak artystycznie, że renifery i pies, zdurzone mianowicie zapachem niewyprawną wilczą skórą, szalały ze strachu; mężczyźni chwytały, bili wilka, zabijając go niby w końcu i było pełno wrzawy i ruchu, czem zakończyło się przedstawienie jednej z najpospolitszych scen lapońskiego życia. Następowła druga. Koczownicza gromadka, uważając że okolica zanadto obfituje w wilki, postanowiła zmienić miejsce pobytu. Zarzucano sznur reniferom na rogi, walczono z nimi i nareszcie zaprzęgano ich do sanek po jednemu. Związano potem namioty, składano sprzęty i pakowano wszystko na grzbiety innych reniferów przy ciąglej walce, bo renifery nigdy nie są zupełnie obłaskawione, koczujący lud, pospolitą w swych rodzinnych stronach karawaną przeciągał przed oczyma widzów i... udawał się na przeciwny koniec ogrodu, gdzie rozpoczynano trzeci ustęp lapońskiego żywota, to jest rozbijanie namiotów i nowe osiedliny. Wkrótce pojawiał się inny znów epizod, wesele. Starożytnym zwyczajem znanym u wielu ludów, pan młody musi koniecznie porwać narzeczoną, chociaż wprzód zgodzili się już na małżeństwo jej rodzice; następował więc zbrojny napad, żwawa bójka, pogoń za narzeczoną uwożącą pannę na saneczkach w kształcie łodzi, ciągnionych przez zawsze wpół dzikiego renifera i nareszcie uczta w chacie szczęśliwego małżonka.

Jako nowość dla nas, i jako przedstawienie rzeczywiście prawdziwych scen z lapońskiego życia, były te „komedye” bardzo zajmujące w istocie.

Wł. R.

## WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

## Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

— Siedź i nie ruszaj się mały panie. Dostyć mielibyśmy do roboty, gdyby przyszło dwóch wyciągać z przepaści; zresztą, tamci dwaj są doświadczeni, umieją chodzić po takich „pokrywkach od piekielnych kotłów” wolno im też i kark skrócić dla nauki bo jest ich własny, a ty nie masz jeszcze nic własnego, ani nawet karku, siedźże spokojnie i słuchaj



drugich, gdyś jest... — zuchwały majtek wymówił tu wyraz, którego znaczenie zdawało mi się wątpliwem, ale gdy później na parostatk, nie śmiejąc nikogo zapytać, sprawdziłem w słowniku, pokazało się, że to istotnie był wyraz odpowiedni używanemu u nas przez pospólstwo, nieprzyzwoitemu wyrazowi „smarkacz”. Zaczynam przypuszczać, że bezustanna walka z burzami i z falą, z potężnymi żywiołami jednym słowem, wyradza w marynarzach to szczególne zuchwalstwo i niegrzeczność.

Po trzech godzinach ciężkich trudów, na które patrzyliśmy z naszego stanowiska, dwaj panowie, nie mogąc w żaden sposób zejść dalej, wrócili do nas nareszcie, a owocem tej wycieczki była krótka rozprawa, w rodzaju notatki pana Antoniego, którą nazajutrz wszystkim odczytał, wypracowawszy ją w nocy. Dowiedział w niej, przeciwko ogólnemu dotychczasowemu twierdzeniu, że wybuch wulkaniczny na wyspie Krakatoa ustał zupełnie już w pierwszych dniach Września 1883 r. to jest w kilka dni po 27 Sierpnia, gdy doszedł do najwyższego swego nateżenia. Kapitan nasz sprzeczał się, utrzymując że on sam i jego koledzy, żeglując po okolicznych wodach, widzieli i widzą przecież ciągle dym, wydobywający się ze szczytu Krakatoa, i w nocy lekkie światła, odbłaski, a pan Antoni dowiódł mu, co sprawdził właśnie w ostatniej wycieczce, że dym pochodził nie z krateru wcale, lecz oprócz chmur popiołu unoszonych przez wicher, jeszcze i ze szczątków różnych materii organicznych, drzew olbrzymich mianowicie, które niegdyś pokrywały jednym lasem całą Krakatoa, a teraz nie istnieją, tylko gdzieniegdzie szczątki ich, niedostatecznie wyjątkowo nakryte popiołem żarzą się ciągle i wydają ów dym i blaski nocne widzialne w oddali.

Wróciwszy nareszcie na nasz maleńki parowiec, przepłynęliśmy koło wyspy Verlaten, wyglądającej jakby taca pełna popiołu wymiecionego z pieca, lasy wspaniałe, okrywające całą jej powierzchnię przed dziewięciu miesiącami, nie istnieją. Wysepka ta była niedawno oddzielona od Krakatoa tylko przesmykiem, na którym obalone drzewo za most służyło... obecnie bez łodzi trudnoby z jedną do drugiej się dostać. Płyniemy potem koło mniejszej jeszcze Lang, a obie one, zdaniem pana Antoniego stanowiły niegdyś jedność z Krakatoa i rozerwane zostały jakimś przedwiekowym wybuchem. Całą noc następną pan Antoni pracował w kajucie, przy strasznym trzydziestu kilku stopniowym gorącu, my wszyscy spaliliśmy na pokładzie. Obudziwszy się rano, ujrzałem że stojmy wśród kilku innych statków, w małej zniszczonej przystani: było to znowu Merak na wybrzeżu jawańskim, kędy przepływaliśmy już przed kilku dniami, teraz opłynąwszy wybrzeża Sundzkiej cieśniny wróciliśmy do Jawy, a pan Antoni już stał na pokładzie, w żywej gawędce z jakimś obcym, który snadź z miasta przybył na nasz statek. Póki się śpi, to się śpi, choćby w obec stu osób, zwłaszcza też na pokładzie okrętowym, gdzie niema żadnej między mężczyznami, ładowej tak zwanéj u nas z cudzoziemska „etykiety” a zastępuje ją karność wojskowa prawie, czyli tak zwana „subordynacja”, która doskonale rozumie przecież, że jak się człowiek bardzo utrudzi i nie dośpi, to potem wypaść się mu należy. Ale co innego jest wcale gdy się już obudzisz, a tu wszyscy chodzą koło ciebie... Zerwałem się, poprawiłem ubranie (na okręcie nikt się nigdy do snu nie rozbiera) i przystąpiłem do rozmawiających, nie wiedząc trochę co z sobą zrobić i trochę nieśmiało, co nie jest w moim charakterze, lecz zdawało mi się, że pan Antoni żał ma do mnie, za wczorajszy kłopot ze mną na Krakatoa, dokąd wziąć mię nie chciał, a ja się uparłem, a potem podobno przeszkadzałem mu istotnie. Mimo to wszystko, zawsze grzeczny, szczególnie gdy naukowa namiętność chwilowo góry nad nim nie bierze, przedstawił zaraz swego „młodego towarzysza” panu „Pechler”, dodając jakby żartem, że ma ze mną kłopot, bo ja chcę wszędzie leżeć choćby w krater, aby wszystko widzieć.

— O!... tak?... Młody towarzysz taki jest zamiłowany w nauce? — odpowiada pan Pechler. — Ha... to niech żałuje że nie był tu z nami 27 Sierpnia. Merak, zostało zupełnie jak widziacie zniszczone, a z nas, czternastu Europejczyków, którzyśmy przed tym dniem nie uciekli, ja ocalałem sam je-

den. Właśnie skończywszy wczorajsze rachunki w biurze, szedłem za interesem do Serang. Chmurnym porankiem, znajdowałem się za miastem u stóp wzgórza, słuchając z przestachem odległej tajemniczej kanonady i opędzić się nie mogłem smutnym myślom, wywołanym wczorajszym zalewem, który zniszczył ślicznie zabudowane pobraże Merak'u, gdy wtem po najstraszliwszym huk, jaki kiedykolwiek słyszałem, spostrzegłem, że morze powstaje w górę, jak żywy mur, tak wysoko, jak najwyższe kokosowe palmy nadbrzeżne i idzie ku mnie... Ani wiedząc co czynię, zacząłem uciekać na szczyt wzgórza, ale fala mimo całego z mój strony pośpiechu, dogoniła mnie i rwała mnie i szarpała w pół ciała prawie, gdy zebrawszy wszystkie siły, rozpaczliwym wysiłkiem wydarłem się jej i podbiegłszy czy podpełzłszy jeszcze w górę, upadłem wpół nieżywy na szczycie wzgórza. Obecnie, te nowo powstające budowle, które panowie widziacie stoją daleko wyżej i dalej od brzegu niż Merak dawniejsze, a Europejczyków jest tylko trzech, zawiadowca latarni morskiej, sternik portowy i pocztmistrz-telegrafista, który się nawet już jako tako urządził ot tam na skale wysoko, w przekonaniu, że go tam fala nie dosięgnie. To mój przyjaciel, możebyśmy tam poszli?

Oczywiście, dostawszy się na wybrzeże, posłaliśmy tam natychmiast, ale zawiódł się pan Antoni, szukający tylko wszędzie wiadomości, o minionej tutejszej katastrofie: wszyscy ci panowie mało o tem wiedzieli, gdyż przybyli tu na miejsce tamtych dopiero, którzy padli jej ofiarami. Wszystko się tu robi i urządza na nowo aż do bruku, bo i ten fale wyrwały. Zamiast opowieści o wylewie i wybuchu, spotkała nas niespodzianka: pani domu siadłszy do fortepianu wyśpiewywała nam piosenki paryżkie, częstując w przerwach herbatą z ciastkami... Pusty śmiech mię brał, patrząc na pana Antoniego, który wcale nie po takie przyjemności z Paryża tu przyjechał; biedak aż kaszlał i kichał zniecierpliwości. Odetchnął dopiero, gdy wyrwawszy się ztąd i idąc nad brzegiem morza, oglądał, na każdym kroku widoczne jeszcze, ślady wypadków niedawnych. Była tam kolej żelazna i przebywał ją właśnie cały pociąg w chwili owego nieszczęścia, otóż strach patrzeć co się z tem wszystkim stało: szyny poskręcane i porozrzucane daleko, a lokomotywa i wagony leżą poprzewracane w głębi morza przy brzegu, widziałem je dokładnie, bo właśnie trafiłszy na chwilę odpływu. Cała nasza wycieczka na Zundzkie wybrzeża trwała dni ośm; dzień ostatni przepędziliśmy w Merak, a nazajutrz ruszyli z powrotem do Batawii. Pan Antoni długie miał i ważne rozmowy z Holendrami, pomagał im robić nowe oznaczenia na mapach, gdyż pierwszy zbadał w tej wycieczce dużo szczegółów, które zmieniły się, na skutek wybuchu ostatniego w Krakatoa, i do-tąd nie mogły być zaznaczone.

## ZNOWU JAWA.

*Batawia 9 Lipca.*

Droga moja siostro Wandeczko! przebacz że tak długo, do ciebie nie pisałem, bo nie miałem czasu, żeby uporządkować notatki, jakie codziennie robię dla ciebie, lecz z których prawie nic nie dowiedziałybyś się, gdybym je posłał „in crudo” w stanie pierwotnym, to jest w postaci takich hieroglifów, jakie wychodzą z pod mego ołówka na pokładzie, lub w kajucie parowca. Z początku i tych notatek porobić nie mogłem, gdy tylko przy niespokojnem morzu zwiększało się kołysanie; teraz już mi to obojętne tak, jakbym się na morzu wychował; trzebaby już nielada burzy żebym pisać nie mógł, przywyknienie jest drugą naturą. Powiedziałem ci, że wyjechaliśmy z Merak do Batawii; w drodze jednak gdy sir Wynn zaczął opowiadać o Buitenzorgu, co po holendersku ma znaczyć: Bez-troski „Sans Souci” podobno, tak pan Antoni zgodził się jechać tam w jego towarzystwie, na odpoczynek, po przykrój, tylko co odbytej naukowej wycieczce, w cieśninie Sundzkiej. Prawie się nie zatrzymując zatem w Batawii, pojechaliśmy koleją żelazną do owego Buitenzorga, oddalonego od Batawii na 60 kilometrów. Stanąwszy na miejscu, dopiero zrozumiałem liczne a krótkie wzmianki naszego osta-



tniego kapitana, i wielu innych Holendrów, o tój miejscowości. Zrozumiałem, że oni mówią o niej tak jak rodzice o dziecku, które jest ich chlubą lub brat o siostrze, którą się pyszni: przecież nikt w takim razie nie wychwala głośno zalet i przymiotów ukochanej osoby, lecz mimo to, uwielbienie i ukochanie dla niej objawia się mimowoli, w każdym słowie. Tak właśnie Holendrzy kochają Buitenzorg, a raczej jak się domyślam jego przecudny ogród botaniczny, bo już to pamiętać należy, że ogrodnictwo, a raczej i właściwiej „kwaciarstwo”, jeżeli tak się można wyrazić jest prawdziwie narodową manią Holendrów. Wszak prawda, że mimowoli, myśląc o takich ludziach rozkochanych w kwiatach, do tego stopnia, że nie szczędzą żadnych trudów ani kosztów na ich utrzymanie, trzeba przypuszczać, że ci ludzie są zacni i dobrzy, ponieważ umieją kochać piękno, w najidealniejszym z jego objawów. W istocie, zdaje mi się że Holendrzy są takimi właśnie, o ile poznać ich mogę. Są to przedewszystkiem ojcowie rodzin i gospodarze wzorowi. Buitenzorg jest niby względem Batawii tem, czem bywał Versailles względem Paryża, swego czasu. U stóp gór, wpośród wspinających lasów starych i przepysznych ogrodów, za przewodnictwem pana Wynn, umieściliśmy się w hotelu pana Garreau Francuza i bardzo nam tam dobrze było; może dla tego właśnie, że się jeszcze dotkliwie czuło ową ośmiodniową przejażdżkę sundzką, sypianie na pokładzie, brodzenie po przepaściach, z duszą na ramieniu; ach siostrzyczko, wierz mi że i ta pospolitość codzienna, którą tak bardzo się nudzimy w domowym życiu, ma jednak swoje dobre strony, o których pożądanem istnieniu przekonamy się najładniej wtedy dopiero, gdy się przez kilka dni z rzędu, ani spało ani jadło porządnie. Nawet wychawszy z Buitenzorg do Bandong, stolicy okręgu, jechaliśmy ciągle jakby w pośród przepysznych ogrodów.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

Dzienniki angielskie donoszą o zgonie słonia, nazwiskiem Sella, który pozostawał w służbie rządowej przez 65 lat. Sella należał niegdyś do ostatniego króla Kandy, Wikrema Raja Singha i był jednym z setki słoniów, które z upadkiem kandyckiej dynastii w roku 1815-tym dostały się w posiadanie rządu angielskiego. Sella miał już mieć wówczas 15 lat. Dwaj koledzy, z którymi zwykle wspólnie pracował, nie żyją już od lat 25-ciu. Sella należał do urzędu robót publicznych i gdy rząd angielski w roku 1880-tym postanowił sprzedać wszystkie słonie, dostał się przez licytację pewnemu miejscowemu przemysłowcowi. Było to nadzwyczaj posłuszne, pojętne i pracowite zwierzę. Jeszcze przed trzema laty brał Sella udział w polowaniach na dzikich swoich współbraci, i słynął z tego, że umiał ich ułaskawiać i przyciągać za sobą.

Belgijskie towarzystwo robót publicznych w Buche, w Hennegau, wykonało w warsztatach swoich dzieło, budzące ogólny dziw. Jest to w stylu gotyckim z żelaza kutego i lanego wykonany kościół, przeznaczony dla parafii „Notre Dame del Carmen”, na Manili. Wyspy Filipińskie nawiedzane są przez częste i gwałtowne trzęsienia ziemi, tak, iż budynki, wznoszone z cegieł i kamieni ulegają zupełnemu zniszczeniu. Kościół zaś żelazny może stawić opór najsilniejszym nawet wstrząśnieniom podziemnym.

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Zwiędłe liście, wiersz p. Z. M. — Podziemia barwałdzkiego zamku p. Boguchwała. — Wielki zjazd p. A. Ładę. — Laponczycy (z drzew.) — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.) — Rozmaitości. Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Opiekun sierot (z drzew.) — Modlitwa dziecięcia, wiersz p. Natalię Sokołowską. — Na wakacjach p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

## ZAGADKA.

Oznaczam jedną króciutką chwilę,  
Po której ma być co się żądało,  
Lecz rzeczywiście chwilę we mnie tyle,  
Że chcąc je zliczyć godziny mało.  
Ta elastyczność, to nie wypadek,  
Ale zwyczajne lenistwo człeka;  
Pytasz kucharza kiedy obiadek?  
On mnie wymawia a obiad zwleka.  
Pytasz się kiedy lekcy wydanie?  
Wnet chłopczyk moje nazwę ci powie,  
Tymczasem czekasz, bo me nazwanie  
W pustem się tylko zamyka słowie.  
Mam trwać sekunde, a trwam kwadranse,  
Albo i dłużej jak czas pozwoli.  
Próżniacy mają zazwyczaj szansę  
Przedłużać bieg mój, według swęj woli.  
Dziwną jest jednak w treści męj wątku,  
Ta okoliczność, że kto mnie czyta,  
Czy to od końca czy od początku,  
Zawsze jednaki skład liter chwyta.

## ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

(dla Czeskiej Niezabudki, Księżniczki z krainy Róż i Amalwy, od Królowej Wrózek).

Z następujących zgłosek: a — bę — bi — ce — ci — caw — den — dha — dzie — e — ghi — la — li — la — lu — me — nie — pi — ra — rz — ri — rie — sarz — sy — wa — wa — za — zę — ułożyć wyrazy: 1. Przysłówek. 2. Imię męskie. 3. Narod wybrany od Boga. 4. Jezioro w Ameryce. 5. Dawna broń. 6. Władca. 7. Ptaki czczone u Egipcyan. 8. Miasto portowe w Arabii. 9. Szczyt w Himalajach. 10. Ptaki wodne. 11. Miasto w Morawii. Początkowe i końcowe litery tych wyrazów czytane od góry do dołu, utworzą tytuły dwóch dzieł poety polskiego XVI wieku.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 43-go.

### Szarady:

O — bo — wiąz — ki.

### Łamigłówni kryształowej:

			G			
		E	R	A		
	K	R	A	T	A	
G	R	A	Ż	Y	N	A
	F	R	Y	N	E	
		D	N	O		
			A			

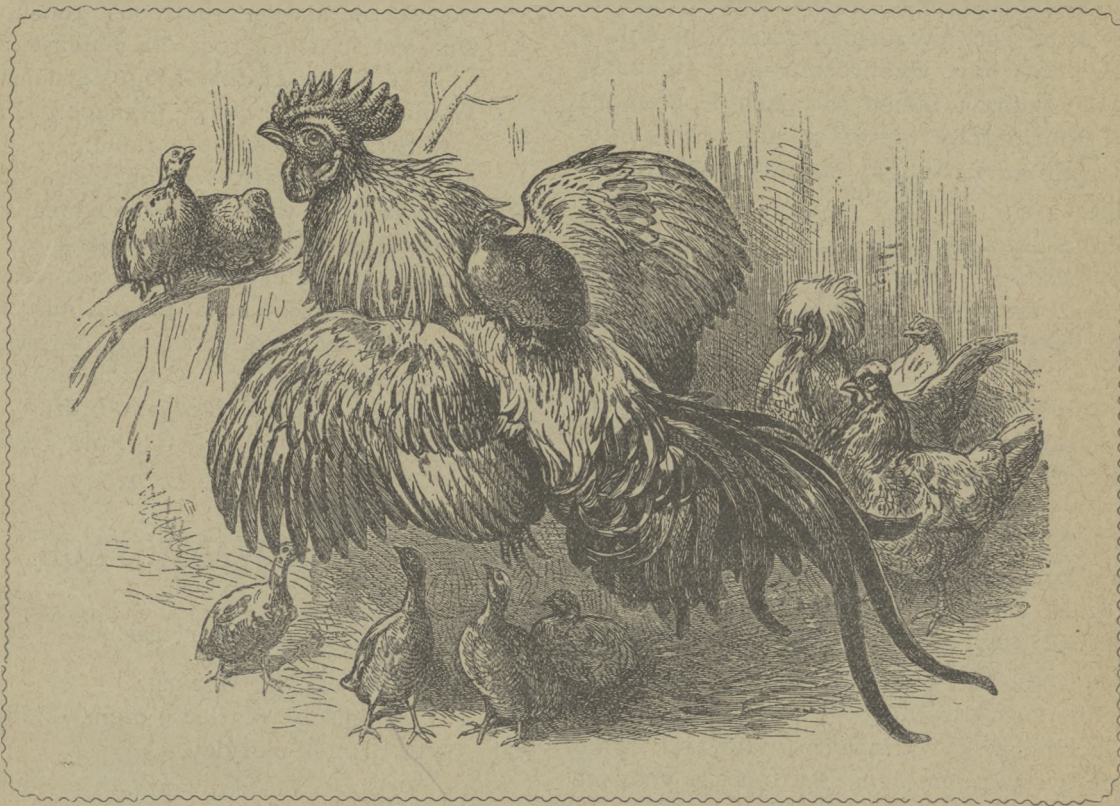


## OPIEKUN SIEROT.

Pewna zawołana gospodyni wiejska hodowała rozmaite kury, sprowadzała je nieraz ze stron dalekich, nawet i z zagranicy. Dziedzinec folwarczny téj pani przedstawiał ciekawy i niezwykle widok. Żyły tam razem, i pospolite kury, jak pani Kokosznicka, pani Kwocka, pani Czubatkwiczowa, których ród od czasów niepamiętnych w kraju naszym zamieszkał i przyswoił się zupełnie. Kiedyś wprowadzie pra-pra-babki tych pań przybyły do nas ze Wschodu, z Azji, ale to tak dawno, tak

zadługo po nich przyjechała z jakichś stron oddalonych, z Azji, pani de Brama-Putra, jeszcze dziwniej puszysto obrosnięta od Kochinchińskiej, chociaż mniejsza od niej znacznie. Małżonek jój towarzyszył, oboje byli spokojnego usposobienia i wcale nie dumni, chociaż znać było na nich ród znakomity; wkrótce też zaprzyjaźnili się z gromadką dawniejszych mieszkańców folwarku. Następnie przybył dnia pewnego niespodzianie wspaniały kogut aż z Anglii, zwał się mylord Dorking. W końcu zawitała piękna Francuzka, dama wielkiego świata, pani margrabina de Houdan.

Ta ostatnia jakoś najmniej się podobała dawniej-



Opiekun sierot.

bardzo dawno, że one same o tem prawie zapomniały, najstarsze tylko i najuczeńsze dawne te podania historyczne opowiadały czasem młodszym.

Do towarzystwa kur swojskich przybyła już oddawna rodzina państwa Kochinchińskich, piękny kogut i kokoszka; pani Kokosznicka, pani Kwocka i inne patrzyły na tę parę z pewnem uszanowaniem, wyglądała bowiem okazale z wspaniałemi pióropuszcami na nogach. Szczególnie pan Kochinchiński stroił pyszne miny, co nawet obraziło pana Czubatkwicza, dawniej zamieszkałego tam koguta zwyczajnego, parę razy przyszło do sprzeczki, a nawet do zaciętej walki. Z czasem jednak dwaj rycerze przywykli do siebie i żyli w przykładowej zgodzie.

Nie skończyło się jednak na Kochinchińskich; nie-

szym kurom, miała zupełnie inne usposobienie, inne zwyczaje, wyglądała na osobę próżną i lekkomyślną. Zadzierała czubek wysoko, wykręcała się, jak fryga, dla starszych kokoszy i kwok poważnych nie miała żadnego uszanowania, paplała bez zastanowienia i przechwalała się ciągle swojemi stosunkami wielkoświatowemi. Niezadowolona była z nowego mieszkania, narzekała na jedzenie, na złe urządzenie sypialni, towarzystwo także jój się nie podobało, ciągle tylko Francją wysławiała, a nasz kraj nazywała pogardliwie barbarzyńskim. Rozumie się, że to nierozsądne postępowanie oburzyło wszystkich, szczególnie starsze panie oddawały pięknem za nadobne pani margrabinie i pogardliwie się od niej odwracały. Tylko młodsze kokoszki lubiły słuchać jój paplania, a młode koguciki uwijały się koło niej i grze-



czności jęj prawily, bo im pochlebiala łaska takiej wielkiej pani.

Na wiosnę wszystkie kury i swojskie, i zagraniczne zaczęły znosić jajka, codziennie oznajmiały wesółemi okrzykami: ko ko ko! to ważne zdarzenie, a gospodyni zbierała wszystkie jajka i składała w koszach w szpiżarni. Potem niektóre starsze kwoczki zasiadły na jajach, wykluwały się śliczne, małe kurczątka i mateczki wyprowadzały kochany swój drobiazg na dziedziniec folwarczny. Już pani Kokosznicka, pani Kwocka i jeszcze któraś przechadzały się ze swoją dziatwą, gospodyni próbowała też posadzić na jajach margrabinę de Houdan, ażeby odchowić kurczęta tego znakomitego rodu.

Ale pani margrabina ani słyszeć o tem nie chciała. Co ją posadzą w koszu, to ona zeskakuje, trzepocze skrzydłami, krzyczy, jak szalona i ucieka. Próbowano różnych sposobów, wyskubano jęj trochę pierza na pierśiach i zwilżono wodą, sądząc, że zechce posiedzieć spokojnie, ażeby się ogrzać. Wreszcie gospodyni dołała jęj mocnego wina do wody, wyobrażała sobie, że jak się zadurzy, to ją sen zmorzy, zaśnie na jajach i potem już nie wstanie. Takie sposoby nieraz się udawały z młodemi, roztrzępanemi kurkami, gdy nie miały ochoty siedzieć na jajach.

Margrabina jednak wyspała się, a potem zeskoczyła z kosza i wyleciała na dziedziniec z takim impetem, że jęj nikt dogonić nie mógł. Musiała więc gospodyni dać pokój tęj wietrznicy. Ale nie chciała dlatego wyrzec się hodowania kurcząt tego cudzoziemskiego rodu, a na to był sposób łatwy: poprostu włożyła do kosza jaja margrabiny i posadziła na nich pocziwą panią Kochinchińską, która już nieraz wychowywała piękne kurczątka i wzorową była mateczką. I teraz zasiadła tedy chętnie w koszyku pani Kochinchińska, nie domyślając się wcale, czyje to jaja wygrzewa i tuli własną pierśią. A trzeba wiedzieć, że ze wszystkich kur ona podobno największą niechęć miała do pysznej i lekkomyślnęj Francuzki.

W zwyczajnej porze wykluły się kurczątka, lecz doświadczona Kochinchińska odrazu poznała, jak tylko spojrzała na nie bystrem oczkiem, że to nie są rodzone jęj dzieci. Może też odgadła podstęp, przeczuła, że to potomstwo nienawistnej margrabiny, która sama nie chciała podjąć trudów macierzyńskich. Kochinchińska nie miała widocznie tak pocziwego i czulego serca, jak owa Kokosznicka, co to wysiedziała kaczęta i do wody za niemi skoczyła. Nie chciała przybranych tych dzieci pilnować, wpadła w złość i odpędziła je od siebie, a gdy biedactwa piszczały, nakrzyczała na nie i odbiegła w inną stronę.

Nieszczęśliwe sieroty byłyby może zginęły z głodu i nędzy, bo kurczątka potrzebują koniecznie troskliwęj opieki, gdyby się niespodzianie nie ulitował nad niemi... zgadnijcie kto! Oto zacny kogut angielski, mylord Dorking. Chociaż koguty nigdy nie mają zwyczaju piastować dziatwy, mylord tak był wzruszony widokiem opuszczonych sierot, że wziął je pod swoją opiekę i ku wielkiemu podziwieniu wszystkich kur i kogutów, był najtroskliwszym ojcem dla nich. Zwoływał kurczątka, naśladując kwokanie kury, oddawał im najlepsze ziarnka,

wynajdywał robaki, owady różne i częstował temi przysmakami przybrane dzieci, a na noc otulał je z czułością szerokiemi swemi skrzydłami.

Był to widok, i zabawny, i rozrzewniający zarazem, gdy mylord z największą powagą i cierpliwością pielęgnował kurczątka. Malcy z poufałością wskakiwały mu na grzbiet, a on okrywając je starannie skrzydłami, zasypiał wraz z przybraną tą rodziną. Kury zbiegały się zwykle na to widowisko, które właśnie widzicie przedstawione na dzisiejszym naszym rysunku. A opowiadanie to nie jest wcale zmyśleniem, ani bajeczką, lecz zdarzeniem prawdziwym, za które ręczymy.

## MODLITWA DZIECIĘCIA.

Ponad kołyską słabiutkięj dzieciny  
Bóg stawia matkę, Opatrzność rodziny,  
Ona jest słońcem, rosą dla maleństwa,  
W nięj wszystkie błogosławieństwa  
W nięj wszystkie moce, płynące z kochania...  
Strzegąc naszego zarania:  
Myśl, czucie, wiarę, szlachetność w nas budzi:  
Gotowa sobie wydrzeć serce z łona,  
Byle od troski uchronić swe dziecię,  
Byle od braku ustrzedz jego wiosnę!...  
O pozwól Boże! niechaj ta rodzona  
Pociechy szczęścia dozna gdy dorosnę!...  
Niech przy jęj sercu hodowane kwiecie,  
Przyniesie owoc dla pożytku ludzi.

*Natalia Sokołowska.*

## NA WAKACYACH.

(Dokończenie).

WAŃDZIA.

Tak, mieliśmy myśleć o czem, kiedy nam się zdało, że to Bronek nieżywy.

JADWINIA.

A gdyby to był i Bronek, czy nie mógł umyślnie, nie poruszać się, aby was nastraszyć?

ZOSIA.

Dobrze ci tak mówić moja Jadwiniu, bo wiedziałas że Bronek siedzi w garderobie, ale my...

STEFICIO (który rozmawiał z Bronkiem pocichu i śmiał się).

(głośno) Bronek powiada, że wymyślił jeszcze jedną zabawę, daleko lepszą od tęj.

WAŃDZIA.

Dziękuję za jego zabawy, pewnie znów byłoby strachu niemało.

P. SCHOLASTYKA (uprzątając w pokoju).

Tak się bawią tylko trzyletnie dzieci, a nie takie słuszne, siedmioletnie panny, i kawalerowie co niedługo wąsy mieć będą.

BRONEK (zakręcając niby wąsy).

Oj to, to, żeby jak najprędzej, a może też panna Scholastyka w szczęśliwą wymówiła godzinę.



JADWINIA.

A powinszowanie dla babuni? czyście się już nauczyli?

ZOSIA (*jękając się*).

Ja... to jest... ja...

JADWINIA.

Pewnie nie umiesz, prawda? a ty Wańdziu?

WAŃDZIA (*oglądając się po pokoju*).

Miałam go tu... było niedawno... jak mamę kocham było... ktoś mi chyba wziął.

JADWINIA.

Mnie nie idzie o papier, tylko o to żebyś się nauczyła.

WAŃDZIA (*zakłopotana*).

Tak... trochę... umiem... ale jeszcze nie zupełnie.

JADWINIA.

A wy chłopcy? jesteście starsi, więc pewnie chcieliście dać dobry przykład i nauczyliście się swoich powinszowań. Czy prawda? Szkoda tylko że przykład nie znalazł naśladowców.

BRONEK (*szukając w kieszeniach*).

Zaraz... bodajże cię... gdzieś tak dobrze schowałem. i nie mogę znaleźć... (*szuka ciagle*).

JADWINIA.

Mamy dowód że umiesz chować wybornie. No- a ty Stefciu?

STEFCIO.

Ja, bo widzisz Jadwiniu (*przełyka*) ja... (*prztyka palcami*) no, co tam, głowy mi nie urwiesz, powiem prawdę, (*znów przełyka*) prawdę... (*n. s.*) jakoś ta prawda nie chce mi przejść przez gardło, (*głośno*) a to widzisz moja Jadwiniu...

JADWINIA.

A tak, widzę przed sobą kilkoro próżniaków, którym się nie chciało dla babuni nauczyć powinszowania.

BRONEK (*machnąwszy rękę*).

E, dosyć tych komedii, ja mówiłem od początku, że jak przyjdzie do tego miejsca, że nas nazwiesz próżniakami, to ja nie wytrzymam i powiem wszystko.

(*Dzieci przerażone szepczą między sobą, dając znaki Bronkowi aby był cicho*).

JADWINIA (*biorąc go za rękę*).

(*cicho*) Guciu, co robisz, czekaj, już niedługo koniec.

GUCIO (*Bronek*).

Nie chcę czekać, to wszystko nieprawda, ja umiem powinszowanie, i nie jestem żaden Bronek, tylko Gucio. (*do publiczności*). To proszę państwa taka komedyjka, i wszystko udanie...

P. SCHOLASTYKA (*zbliża się przerażona*).

(*cicho*) Ach ty szkaradny chłopcze, wszystko przez ciebie się nie udało.

GUCIO (*śmieje się i pokazując na p. Scholastykę palcem, mówi do publiczności*).

To proszę państwa nie żadna p. Scholastyka, tylko Kazia, jak mamę kocham tak Kazia, a to nie Jadwinia tylko Mila. Może państwo myśla że to jakaś tam Wańdzia i Zosia? aha, to Lucia i Julcia. Trzeba było nie pisać o próżniakach, tobym nie wydał sekretu, a tak, to jeszcze powiem (*pokazując na Stefci*) że to nie Stefcio tylko Władzio.

DZIECI (*chodzą prędko, zadąsane*).

Taka komedyjka to do niczego.

GUCIO.

To trzeba było takiej komedyjki nie układać, bo my wszyscy umiemy powinszowania. Mila zrobiła dla babuni taki śliczny czepeczek...

MILA (*zasłaniając mu usta*).

Cicho! ty szkaradny...

GUCIO (*wyrywając się mówi*).

Kazia zrobiła na kanwie stołeczek pod nogi...

LUCIA I JULCIA (*skacząc koło Gucia*).

Cicho, cicho, już więcej nic nie mów...

GUCIO.

Już nic nie mam więcej do powiedzenia, bo wy nie nie zrobiłyście dla babuni.

(*zasłona spada*).

Huczne bravo! nagrodziło pracę artystów, zasłona się raz jeszcze podniosła, i teraz wszystkie dzieci stojąc rzędem, wygłosiły krótkie, ale serdeczne powinszowania. Babunia aż łzy miała w oczach, tak była rozrzuwniona i ucieszona niespodzianką, a gdy Gucio, który winał na ostatku, wygłosił z uczuciem i bez żadnych już „szusów”.

„Ach! żyj nam sto lat, babciu nasza droga,

O to codziennie szczerze błagam Boga”.

Babunia się podniosła, poszła na scenę i wszystkie wnuczeta ścisnęła i całowała serdecznie.

A potem, jak się bawiono wesoło, to i opowiedzieć trudno, dzieci były tak grzeczne, że wszyscy goście winowali babuni, takich miłych i dobrych wnuczeta. Gucio uważał ciągle żeby, niechcący zupełnie, nie zbroić jakiego figielka, i tak mu się to udało, że tylko raz jeden, jedyny raz przez cały wieczór... ale cotam, już o tem nie trzeba wspominać, bo chłopczyk pracował nad sobą, i strzegł się szczerze.

Otóż i wakacje się skończyły, wszyscy poróżjeżdżali się do domu, aby się zabrać do pracy i nauki.

Dzieci żegnały się z sobą z wielkim żalem, tak im było razem wesoło, a chociaż tam czasem, było to i owo między malcami, ale i zgoda następowała prędko.

Na nadchodzące wakacje, wszyscy znów zaproszeni są do rodziców Mili i Gucia, a Gucio przyrzekł bardzo solennie, że w swoim domu będzie taki grzeczny, ale to taki grzeczny, aż strach! Tak się sam wyraził.

To wyrażenie „strach” jakoś mię niepokoi, no, ale zobaczmy.

—————  
Krzyż z podstawą.

(od Góralki dla Wisienki z nad Sobu).

I					
.					
.					
12	.	.	.	16	J
.					
.					
.					
17	.			19	
20	.	.	.	24	
25	.	.	11	.	31

1—11 Powieść przez Zofię Urbanowską. 12—16 Mine-  
rał. 17—19 W smutku ulgę przynosi. 20—24 Cząsteczka  
ognia. 25—31 Miasteczko w Galicyi.



## Łamigłówka w kwadraciku.

(dla Zwinnój Wiewiórki od Białej Perełki).

Kwadracików 9. Litery: 4 A—1 M—2 R—2 I—  
Znaczenie wyrazów: 1. Jeden z miesięcy. 2. Gatunek papugi. 3. Inaczej wąż.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 44-go.

### Zadania konikowego:

Kociół garnkowi przygania, a sam smoli.

### Homonimu:

Ł ó d ź.

## Skrzynka do listów.

**Pracy** i wszystkim kochanym ofiarodawczyniom książek szkolnych dla biednej pensjonarki, składamy w jej imieniu serdeczne podziękowanie.

Upraszamy otrzymujących nagrody konkursowe czytelników naszych, zarówno zamieszkałych w Warszawie, jak w dalszych stronach, aby o ile to jest dla nich możebnem, zgłaszali się po ich odbiór sami do naszej redakcyi.

**Żabce z nad Dniestru** posłałismy wszystko, czego żąda, a za otrzymaną od niej przesyłkę serdecznie: Bóg zapłać, dziękujemy, również jak i Maryi P.

**Brzózka** niesłusznie nas posądza, że list może „pójść nie czytany do kosza”. Zbyt nam są miłe odezwy młodzieńskich naszych korespondentów, abyśmy w ten sposób obchodzić się mieli z listkami, jakie od nich otrzymujemy. Nie szukamy w nich „główek”, wystarcza nam serdeczne słowo, na które też zawsze serdecznie odpowiadamy. Prosimy więc tak Brzózkę jak i Śmieszkę, aby pamiętając o tem, nigdy się nie krępowały, ilekroć przyjdzie im ochota napisać do redakcyi.

Pierwszy to liścik **Mazura i Rusina**, odkąd „sami” się nauczyli pisać, otrzymujemy w Redakcyi. Schowamy go: kto wie? malutcy korespondenci może kiedy na wielkich ludzi wyrosną? Jakże dumni wtedy będziemy, że w naszym są posiadaniu pierwsze próby ich pióra! Tymczasem winszujemy staranną kaligrafię.

Biedna **Czarnooka z Puszczy**, jakże serdecznie współbolewamy nad cierpieniem, jakie ci sprawić musiała choroba mamy. Chwała Bogu, że wszystko szczęśliwie minęło, a młodzieńka dozorczyń musi czuć się teraz szczęśliwą, że mamie użyteczną być mogła.

Kochana **Rusałko i Stańczyku**, przykro nam bardzo, że tak długo daremnie czekanie na zeszyt rysunków. Ale skoro listy zaginały, musicie napisać powtórnie, o jakie mianowicie zeszyty wam chodzi, bo pamiętać nam trudno, a chcielibyśmy dogodzić wszystkim prenumeratorom naszym. Jakże nam miło, że wybierane przez nas powieści przypadają do smaku młodym czytelnikom.

**Brzydotce z nad Tamizy** dziękujemy za przesyłkę; towarzyszące jej słówka są razem serdeczne i zręczne; z wielką też przyjemnością odczytane przez nas zostały, i wyjątkowo w Wieczorach zamieszczone będą.

**Topolka z nad Kodemy** bardzo kocha, jak widać, rodzinne swoje strony. Nie dziwimy się temu: każdy kocha okolice, z którą łączą go wspomnienia lat dziecińczych... najśodsze ze wspomnień!

Życzliwemu prenumeratorowi **Tad. N.** donosimy, że żądane przez niego Wieczory nabyć można po cenie zwykłej. „Zbieranie roślin” kosztuje kop. 15, inne zaś książki, o które T. N. pyta, wyzerpane, lub nie były na polski język przełożone.

**Kukutka z nad Niewiaży** spóźniła się istotnie... na konkurs, ale datek miłosierny, jakbądź przychodzi niespodziewanie, to przychodzi zawsze w porę.

Kochane: **Cyganeczko z nad Wisły, Terkotko i Laszko** mała! Teraz to się już na was naprawdę pogniewałam, żadna z was nie pisze do mnie; jeżeli mi teraz nie odpisiecie, to i ja zaprzestam pisywać do was. Czy wam się podoba powiastka „Na wakacjach”? ja czytam ją z wielkiem zajęciem. Czy uczycie się rysować i grać na fortepianie? bo ja te lekcye bardzo lubię. Bywajcie zdrowe, *Kołowrotek*.

Przepraszam was bardzo, drogie: Niezapominajko z Polesia i Różyczko biała z Wołynia, że tak długo nie odpisywałam. Donieście mi, jaka powieść w Wieczorach podoba wam się najlepiej? Co mnie to „Goście ciotki Klotyldy”. Niezapominajko droga, czy Różyczka jest twoją siostrą? Zazdroszczę ci nauczycielki francuzki, bo język ten bardzo lubię. Uczę się u pewnej pani wraz z jej córeczką. Muszę już kończyć, bo wiem, że liścików długich redakcyja niema gdzie mieścić. Ściskam was wraz ze Sroczką z za płotka i o odpowiedź proszę. *Alpejska różyczka dawniej Złote Serduszko*.

Kochana **Sarenko z nad Sanu!** Bardzo mi pochlebia myśl korespondowania ze Staruszką, bo co do mnie, nieprędka jeszcze zaliczoną zostanę do tak poważnego grona. Donieś mi proszę, jak ci na imię, gdzie mieszkasz i gdzie się uczysz? Sądzę bowiem, żeś jeszcze nauk nie skończyła. Czy lubisz arytmetykę, muzykę i rysunki? Do jakich przedmiotów masz najwięcej zamiłowania? Co do mnie najlepiej lubię historią powszechną i języki. Co porabiasz w wolnym czasie? Boję się aby list mój nie był zadługi; Ściskam cię więc serdecznie, droga **Sarenko** i oczekuję prędkiej odpowiedzi. Kochającą cię *Maryna z pod Garwolina*.

Kochana **Czarna Perełko!** Długo zbierałam się napisać do ciebie, ale nie miałam czasu. Co ci się najwięcej podoba w naszych kochanych Wieczorach? bo mnie wszystko, a szczególnie Najnowsza powieść *Deotymy*. Czy zgadłaś kim jestem? Jeżeli nie, to ci powiem, że widujemy się co środy i co soboty na lekcjach tańców. Nie każ długo czekać na odpowiedź twej *Połnej Róży*.

Droga **Cicha Wodo!** **Luci Mie**, nie znam osobiście, tylko z opowiadania jej dawniej nauczycielki p. **Julii K.** donieś mi, proszę cię pod jakim pseudonymem pisuje i czy już jest na pensyi? Wiem kim jesteś, kochana **Biała Gołąbko**. Masz trzy siostry i trzech braci, na imię ci **Władysława**, czy tak? Pamiętko droga, obiecałaś pisywać do mnie, a dotąd, ani literki nie miałam, czybyś zapomniała o mnie? Ściskam was serdecznie i proszę o odpowiedź. Makolągwie wraz z jej siostrą, **Polskiej Lilijce, Złotej Wierzbie, Regince, Konwalijce z Jakimowic** i **Porankowi majowemu** ucałowania przesyłam. *Biała Akacya*.

Droga **Czeska Niezabudko!** Dziękuję ci z całego serca za twój miły liścik, który mię bardzo ucieszył. Z największą radością pisywać do ciebie będę. Podobał nam się twój opis *Ujazdu*, chciałabym bardzo zobaczyć te zwaliska. Donieś nam też kochana **Niezabudko**, jak się ma twoja matka? Mitka będzie pisywać do „Wieczorów”. Ściska cię serdecznie twoja *Jaskółka z nad Ussy*.

Kochana **Piszczalko z nad Ussy**. Bardzo chętnie z Tobą korespondować będę i chciałabym cię poznać osobiście. W odpowiedzi na pytania twoje, powiem ci, że na imię mi **Zosia**, mam lat 11 i mieszkam na wsi; jestem jedynaczką, wychowuję się razem z moją siostrą stryjeczną. Napisz mi czy masz rodzeństwo i w jakiej mieszkasz guberni? ja w mińskiej. Ściska cię serdecznie i prosi o pamięć *Jaskółka z nad Ussy*.

**Gołąbkę pocztową** bardzo polubiłam, najserdeczniejsze uściśnienia jej przesyłam.

**Milutenieczka Gosposiu z nad Warty!** Już od dawna ci winna jestem odpowiedź, ale nie myśl żem cię zapomniała. Znadto cię pokochałam, bo przemówiłaś tak słodko do mnie. Nazywam się **Eleonora**. Mieszkam pod **Koninem**, a nie odpisałam ci, widząc, tyle do ciebie korespondencyi w „Skrzynie”, nie bacz na to iż w obecnej jesienniej porze nie przynęcam ani cieniem, ani wonią mego kwiatu i niezapominaj *Lipy z Pawłowska*.